

Warszawa, dnia 8 (20) Sierpnia 1870 roku.

№ 33. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. Rok VI.

ZAGRANICZNE WYCHOWANIE
NASZYCH PANICZÓW,

napisał
Oskar Stanisławski.

Skończywszy po małym kilkoletnim trudzie, a ciężkich kłopotach i zabiegach ojca, najprzód domową edukację, a potem jedno z gimnazjów krajowych, młody, bo dopiero dziewiętnastoletni paniczyk polski wyjeżdża za granicę, dla poświęcenia się wyższym naukom i przy tem, jak to u nas powszechnie mówią, dla poznania świata. Młodzieniaszek wyjeżdża z kraju; zawadza o Wiedeń, ogląda Monachjum, Berlin i wiele pierwszorzędnych miast niemieckich, widzi Hamburg, Amsterdam, Bruksellę i nareszcie po dwu miesięcznéj wędrówce, dobija do Paryża, tegoczesnego Babilonu, tak ponętnie wabiącego tych wszystkich, którzy go za królowę nauki, lub królowę wszelkiego rodzaju światowych uciech poczytują.



Antoni Małecki. — (Strona 373-a).

Paryż, siedlisko nauk i zarazem gniazdo wszystkiego, co z nauką żadnéj nie ma styczności, a za czem przecież tylu ludzi tak namiętnie goni, zdolny jest nadziejom i potrzebom każdego w zupełności odpowiedzieć. Człowiek, który tu przychodzi szukać prawdziwéj nauki, znajdzie ją obficiéj i łatwiéj niż w któréjkolwiek innéj stolicy europejskiéj i ten opuścić może to miasto mistrzem w obranym przez siebie zawodzie. Inny zaś, którego tu odmienne cele sprowadziły, a mianowicie człowiek młody, dla któ-

rego nauka pozorem jest tylko, a poznanie się ze światem rzeczywistem zadaniem, opuszcza Paryż z piętnem, którego potem ani obyczaje krajowe, ani wiek późniejszy zetrzeć z jego osoby nie zdołają. Pierwszy, może zostać świetną gwiazdą swego kraju, może zostać mądrym przewodnikiem swoich współrodaków, drugi tylko nędznym modelem dla głupio-małpujących paryzkie narowy szaleńców, człowiekiem, któremu do głowy nic nie przybyło, który moralnem własnem i drugich zepsuciem dotkliwą swojéj rodzinnéj ziemi wyrządza krzywdę.

Otóż, niejeden panicz nasz wyjeżdża do Paryża opatrzony w listy ojca, polecające go swemu dawnemu przyjacielowi lub komuś zaufanemu, zajmującemu tam pewne stanowisko i mogącemu ułatwić mu wstęp do odpowiedniego dlań towarzystwa.

Pociąg z krajów wschodnich przybywa do nadsekwańskiéj stolicy późnym wieczorem. Jakkolwiek wewnętrzna gorączka pali naszego przybysza, by jak najprędzéj poznać to miasto, do którego już od lat kilku gorąco wzdychał, trudno mu przecież w nocy odszukać owego ojcowskiego przyjaciela, który miał pierwsze jego na téj nieznanéj mu ziemi pokierować kroki i dla tego zajeżdża przed wspaniały hotel, z zamiarem udania się dopiero nazajutrz zrana, do tego, któremu go przywiązany ojciec najserdeczniéj zalecił. Wysiada z fiakra i o szczęście! na pierwszym zaraz kroku spotyka wracającego do tegoż samego hotelu, niedawnego towarzysza szkolnego, który już od roku jest mieszkańcem Paryża. Ów towarzysz to także syn zamożnych rodziców, wysłany tutaj w tymże samym co nasz panicz celu, wysłany po wyższą naukę. Wzajemna radość z powodu tego niespodziewanego spotkania, tożsamość zamiarów łączą obu towarzyszy od pierwszéj zaraz chwili węzłem braterskiéj niemal jedności i obaj w jednym i tym samym zamieszkują hotelu.

Nazajutrz nie ma ani myśli o odszukaniu ojcowskiego przyjaciela. Tyle jest innego zajęcia, tyle do załatwienia potrzeb niezbędnych, by się od razu pokazać tak, jak na panicza znającego swoje położenie przystoi! Obok tego zaś, ów szczęśliwie spotkany towarzysz szkolny jest taki serdeczny, dobry, taki uprzejmy i chętnie na każdym kroku dający radę i niosący pomoc swoją, tak szlachetnie poświęcający wszystek czas własny miłemu koledze, że niepodobieństwem byłoby nie korzystać z jego skwapliwych usług, co mówię, byłoby to najczarniejszą niewdzięcznością! Po zrobieniu tedy wszelkich sprawunków, a mianowicie opatrzeniu się w czysto Paryzką toaletę, nie nasuwającą najmniejszego nawet podejrzenia o nieparyzkie pochodzenie młodego przybysza, trzeba koniecznie obejrzeć się po tem mieście, w którem wypadnie jakąś cząstkę swego życia przepędzić. A więc wędrówki, przejażdżki, zwiedzanie ciekawych i godnych widzenia zakładów naukowych i miejscowości, wycieczki zamiejskie, teatra i widowiska, odwiedzanie i przyjmowanie nowo zabranych, lub odnowionych znajomości, które są takie miłe, takie pouczające dla trącącego zawsze jeszcze pewną surowością i nie wżyłego w Paryzkie zwyczaje młodzieńca, wyczerpują wszystek czas jego, tak dalece, że już cały miesiąc upłynął, a on, prócz listu, donoszącego kochanemu ojcu, o szczęśliwem przybyciu do miejsca swego przeznaczenia, nie miał jeszcze ani chwili czasu zawiadomić swojego, z każdą pocztą, coraz więcéj niecierpliwiącego się rodzica, o dalszym biegu swojego żywota. Ojciec nie domyśla się, że syn dla tego głównie ociąga się ze swoją korrespondencją, iż dotąd nie miał jeszcze czasu spełnić najpierwszego jego życzenia, przedstawienia się dawnemu przyjacielowi młodości.

W ciągu drugiego miesiąca, panicz poznaje się nareszcie, ale to przypadkiem tylko (bo inaczéj możeby jeszcze do tego nie przyszło) z wyznaczonym mu przez ojca honorowym mentorem. Ależ to stosunek dla niego najmniéj pożądany!

Jakiś stary nudziarz, który ni ztąd ni zowąd zajmuje się natrętnie jego postępowaniem, bada wszystkie jego kroki, rozpytuje się o to, co dotąd robił, co teraz robi, co daléj robić myśli, a co ważniejsza ośmiela się udzielać mu rad wcale nieprzyjemnych, bo krępujących dotychczasową jego swobodę i dążących do rozdwojenia go z młodem towarzystwem, w którego kółku on najsłodsze przepędza chwile. Zkąd data? mówił sobie kandydat do świetnego Paryzkiego poloru, przy chóralnym akompanjamencie kilku zaufanych towarzyszy, wszakże dawne jakieś tam ścisłe stosunki pomiędzy dwoma starymi (ten wyraz *stary*, określający także i czcigodnego ojca panicza, dopiero pierwszy raz w Paryżu przyszedł i to jakoś bez myśli na usta młodzieniaszka) nie upoważniają go bynajmniéj do rozciągania jakiejś opiekuńczéj władzy nademną! Wszakże nie uczyniono go moim guwernerem, któregobym zresztą nie zcierpiał nad sobą w moim wieku i w mojem położeniu!

I po odbyciu jednéj uroczystéj i drugiéj, bardzo spóźnionéj wizyty, podczas których z przebiegłą nieszczerością opisał przyjacielowi ojca swoje niby naukowe zajęcia, a dla których w rzeczy saméj ani jednego jeszcze nie uczynił kroku, porzuca go zupełnie, oddając się wyłącznie towarzystwu tych młodych ludzi, którzy całem sercem, żołądkiem i bezczynnością, pomagają mu wesoło trawić czas i... wywiezione z domu rodzinnego, tak chętnie przez ufającego ojca dostarczone fundusze.

Kilka miesięcy takiego życia wdrożyło już naszego młodzieniaszka we wszystkie warunki, ciążące na młodzieńcu „comme il faut.“ Przypatrzmy mu się tylko bliżéj, a przyznamy niezawodnie, że to niejakieś tam Nadwiślańskie, ale niewątpliwie na brzegach Sekwany urodzone i wychowane dziecko Paryża.

Bo też ubiór na nim, jakby ulał, każda sztuka z najgłośniejszych magazynów stolicy mody europejskiéj nabyta; w ustach dymi się cygaro najwonniejsze, przedziwne Hawanna i z tychże samych ust wcale dźwięcznym, bo zdrowym *jeszcze* głosem, odzywa się swobodny żargon paryzkiego wykwintnisia. W godzinach przedobiednich spotkać go możemy codziennie w eleganckim powozie to na bulwarach, to na polach elizejskich, a w parę godzin potem na dziarskim wierzchowcu uwijającego się w lasku bulońskim, śród roju innych jeźdźców i najświetniejszych ekwipaży. Wieczorem w towarzystwie jednego lub więcéj przyjaciół widzimy go w jednym z najwięcéj uczęszczanych teatrów, a po skończonym widowisku podziwiamy go znowu wesoło biesiadującego w restauracji, która tylko najwybredniejszych i najchojniéj płacących wykarmia gastronomów. Potem.... cóż potem? jeszcze zabawy i rozrywki, które się często do białego dnia przeciągają, a dlatego tylko, o téj dopiero ustają porze, że

młodzi swawolnicy zaczynają się wstydzić nareszcie tego słońca, którego jasne promienie nawet na najbezczelniejsze lica rumieniec wyrzutu sumienia wywołać umieją.

Po tak pracowicie spędzonym dniu i nocy, potrzeba w końcu wypocząć. Jakoż wtedy, kiedy ludzie pracy, snem fizycznie i moralnie pokrzepieni, nowe pełne trudów rozpoczynają już życie, nasz młody kawaler, dotąd troską o utrzymanie bytu swojego nie zachmurzony, zasypia najspokojniéj na miękkiem posłaniu, marząc rozkosznie o programie dzisiaj oczekujących go uciech, chociaż w głębi duszy nie znajduje ani serdecznego zadowolenia z korzystnie przepędzonego dnia wczorajszego, ani dosyć czerstwéj siły do rozpoczęcia dzisiaj tegoż samego, co dnia poprzedniego żywota. Nareszcie podnosi się z posłania około południa, przystępuje do swéj toalety, muska się równie starannie jak młoda zalotnica, ale jakoś widzi w zwierciedle, że blednie widocznie, chociaż dopiero kilka miesięcy takie prowadzi życie. Skutkiem tego dziwna, niepojęta ociężałość odejmuje mu odwagę i chęć, przystąpienia stanowczo do mającéj być jedynym jego celem i zadaniem pracy naukowéj, i tak dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, schodzi mu marnie lecz wesoło śród próżniactwa i swawoli, nieodpowiedniéj ani jego wiekowi, ani nadziejom nie wiedzącego o niczem, przywiązanego doń ojca.

Ależ nakoniec, przywieziony z domu rodzinnego fundusz wyczerpany bezużytecznie na wszystko inne oprócz nauki, przywodzi młodzieniaszka do chwilowego upamiętania. Zaczyna on się tedy oglądać po Paryzkich zakładach naukowych, wywiaduje się o warunkach na jakich może być do każdego z nich przyjętym. Wszystkie te warunki są niezmiernie ciężkie, bo przechodzą siły jego dotychczasowego wykształcenia. Życzeniem rozumnego ojca było, ażeby się poświęcił inżynierji cywilnéj; lecz to przedmiot zbyt trudny; on nie złożyłby w nim egzaminu wstępnego, a przygotowanie się do niego zajęło by mu co najmniéj cały rok czasu i pracy nieustającéj. Po walnéj więc naradzie z kilku doświadczonymi niby przyjaciołmi, zapisuje się na wydział jaki łatwiejszy i rzeczywiście słucha kilkunastu prelekcji. Uwiadomiony o tem ojciec, trapi się wielce tą samowolną zmianą wytkniętéj synowi drogi, lecz przez wzgląd na uroczyste zapewnienie o gorącéj chęci, szczeréj i pilnéj na tem obranem przez siebie polu pracy, nie tylko przyzwala na to, ale zasila go jeszcze nową i to znaczną summą na dalsze, więcéj niż wygodne, utrzymanie. Po odebraniu takowéj, zmienia się od razu postać rzeczy. Zapłaciwszy niektóre dłużki, młodzieniec zapomina o danych ojcu przyrzeczeniach, zaniedbuje rozpoczęte kursa i znowu powraca do dawnego, swobodnego próżniactwa.

I tego rodzaju przejścia powtarzają się w ciągu lat trzech, z tą tylko różnicą, że dotychczasowy paniczyk przekształcił się już na Paryzkiego panka, mającego własny wykwintny lokalik na jednej z pryncypalnych ulic, lokalik którego główną ozdobą jest jedna z udatnych hurysek półświatka, że tę huryskę w pięknym własnym ekwipażu ślicznie prezentuje zazdroszczącym jego szczęścia przyjaciołom, że u siebie dwa razy tygodniowo podejmuje wspaniale i gościnnie nie tylko swoich towarzyszy ale i wesołe przyjaciołki swojéj nimfy i że na podołanie temu wszystkiemu, dopiero około pięćdziesięciu tysięcy franków długu zaciągnął.

W Paryżu niezmiernie łatwo jest o kredyt, z którego szalona, a mająca na co się oglądać młodzież, korzystać nigdy nie zaniedbuje. Człowiek biedny, choćby najuczciwszy, nie znalazłszy pracy, może tu z głodu umrzeć, gdy tymczasem rozrzutnik, mający jakieś imię, o którym tutejsi spekulanci wiedzą, że rodzina jego posiada majątek, a wiedzą oni tu o wszystkiem i wiedzą doskonale, znaleść może na każdym niemal kroku środki do zaspokojenia najniedorzeczniejszych wybryków swoich. Dla tego też młodzież taka brnie coraz głębiéj po śliskiéj i spadzistéj drodze, wiodącéj ją do przepaści i zguby. Brnie więc i nasz polski panicz, bo to droga tak wabna, tak wygodna i umilona tysiącem najróżnorodniejszych przyjemności.... Cóż ztąd, że on w końcu kark skręcić może? To nic! Wszakże można także zginąć w pojedynku, można umrzeć najspokojniéj na wygodnem łóżku przed ciepłym kominkiem, można zginąć i inaczéj jeszcze.... Czyliż to ludzie tak nie giną? *Après nous le déluge!* Byle nam tylko dzisiaj było dobrze, a przynajmniéj nie źle, po co sobie głowę łamać, truć zdrowie, zasępiać wesoły humor smutnemi przypuszczeniami, co za kilkanaście lat, za rok, jutro, albo dzisiaj nastąpić może? Zupełnie tak samo rozumuje w swojéj mądréj główce nasz, niezmiernie praktycznie żyjący Gucio, którego imię, pierwszy raz dopiero wymieniamy i którego odtąd stale używać będziemy.

W końcu trzeciego roku pobytu swojego w Paryżu, Gucio odbiera telegram z kraju rodzinnego, zalecający mu bezzwłoczny powrót do ciężko chorego ojca. Telegram doręczony mu był w przeddzień świetnego festynu, na który od dwóch tygodni było zaproszonych kilkanaście gości. Miała to być uczta i wieczór, któremi Gucio chciał obchodzić uroczystość urodzin ślicznéj Lelji, owéj serdecznéj przyjaciołki i wszechwładnéj pani jego domu i zarazem dwuletnią rocznicę jéj installacji w jego gospodarstwie. Telegram, chociaż w krótkich zawarty słowach, był przecież bardzo dobitny i wymowny, ale nierównie dobitniejszemi i ważniejszemi okazały się względy, które Gucia w Paryżu na ów dzień uroczysty zatrzymały i dla których też wyjazd swój odłożył aż na pojutrze.

Jak się pomieniona uroczystość odbyła, opisywać nie będziemy. Czego tam nie było i kogo tam nie było, to opowiedzieć tylko może paryzka kronika tego rodzaju popisów biesiadniczych. My z naszéj strony dodamy tylko, że na niezbyt liczne grono gości płci obojéj, tyle tam było wybryków nacechowanych zbytkiem i swawolnem rozpasaniem, że naprawdę człowiek młody, który jeszcze nic podobnego w życiu swojem nie widział, znalazłszy się tu przypadkiem, oszalałby chyba głupim zachwytem zmysłowego zadowolenia, a człowiek starszy i bogatszy doświadczeniem ze wstrętem by się odwrócił od takiego lupanarium bezwstydu i zepsucia.

Otóż Gucio i Lelja przyjmują swoich gości po królewsku. Obiad a potem wieczór kończą się dopiero o ósméj z rana. Gucio spracował się okropnie. Wszakże był gospodarzem domu, wypadało mu pamiętać o wszystkiem i o wszystkich, szafował też przy obiedzie i sutéj wieczerzy hojnie zamożną kredytową piwnicą, a obok tego nie zapominał i o zielonych stolikach, do których dla jakiegoś chwilowego nie-

dostatku, animuszem i kieską swoją, jednemu, drugiemu i trzeciemu ze swoich przyjaciół, nader skutecznego dostarczył zasiłku. Celem podtrzymania tak miłéj zabawy, nie licząc kilku tysięcy franków wydanych na samo *porządne, polskie* przyjęcie gości, pozbył się jeszcze ostatnich dwóch tysięcy, zasilając tego lub owego chwilowo nieszczęśliwego gracza..... i pokazało się w końcu, że uprzejmy gospodarz domu, nie tylko nie odzyskał udzielonych najlepszym przyjaciołom pożyczek, ale przeciwnie, sam grając zapamiętale a nieszczęśliwie, pozostał im winien sporą kwotę, przechodzącą jego dzisiejsze zasoby finansowe. Tego rodzaju długi, to są długi honorowe, dopóki dłużnik potrzebuje być człowiekiem honoru. Gucio dba jeszcze o swój honor; zatem ani telegram z domu rodzinnego odebrany, ani synowskie uczucie miłości dla godnego najserdeczniejszego przywiązania ojca, nie zdołały wywabić go z Paryża przed zaspokojeniem owych honorowych długów.

Upłynął po uczcie dla Lelji wyprawionéj cały tydzień. I dopiero ostatniego dnia tego tygodnia Gucio, wyrobiwszy sobie nieustannemi na wszystkie strony zachodami pożyczkę, która pokryła ostatnie tylko długi honorowe, koszta utrzymania w jego nieobecności ślicznéj Lelji i resztą posłużyć mogła na koszta niezbędnéj podróży do chorego ojca, wyjeżdża do kraju.



Do widzenia! — (Strona 374-a).
(Rysunek Artura Grotgera).

Tym razem nie zatrzymuje się już nigdzie. Resztka przygłuszonego wesołem i próżniackiem życiem głosu sumienia popędza go pod strzechę rodzinną i przybywa na miejsce, w dwa dni po pogrzebie ojca, który konając już, ostatniemi wyrazy tęsknił jeszcze za ukochanym synem i jednocześnie błogosławił mu i jego przyszłości.

Biedny Gucio przez całe trzy dni, od drugiego śniadania aż do obiadu, klęczy i płacze nad grobem dobrego, kochanego ojca. Sąsiedzi i służba dworska, są zachwyceni taką rzewną boleścią synowską!

Czwartego dnia, po powrocie z cmentarza, wzywa do siebie rządcę dóbr ojcowskich i po długiéj naradzie, daje mu nieograniczone pełnomocnictwo w zarządzie spadłego nań dziedzictwa. Zabrawszy potem wszystką bardzo znaczną gotówkę, którą rozumny i skrzętny ojciec w kassie swojéj pozostawił i pożegnawszy niby serdecznie, rozumnemi słowy pana rządcę, oraz innych officjalistów, zbolały nieszczęściem które go tak niespodzianie dotknęło, wyjeżdża znowu koleją żelazną do kraju, gdzie tyle najsłodszego w życiu swojem czasu przepędził.

W połowie podróży, spotyka się Gucio z jednym ze swoich towarzyszów Paryzkich, który na jednem z kolejowych rozdroży witając się z nim czule, a żegnając jeszcze czuléj, uwiadamia go, że po załatwieniu ważnéj rodzinnéj sprawy do Włoch spieszy. Gucio nie widział jeszcze tego wonnego pomarańczami, a cuchnącego rozbójnikami kraju, więc bez namysłu, mając tak dobre towarzystwo, zamiast do Paryża, jedzie z tym szczęśliwie nadybanym przyjacielem do ziemi Włoskiéj, nie po żadną naukę, nie po to nawet, ażeby jako miłośnik sztuk pięknych, poznać nagromadzone tutaj arcydzieła wszelkiego rodzaju, bo one go mało obchodzą, ale dla tego tylko, by z czasem mógł powtarzać zazdroszczącéj mu tego szczęścia rzeszy, owe oklepane a przez większą część podobnych mu turystów używane słowa: „gdym bawił w cudnéj Florencji, gdym zwiedzał kolebkę naszéj cywilizacji, starożytny Rzym, kiedym płynął kanałem uroczéj Wenecji“ i t. p.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

TRZPIOTKA.

(*Tekst do mazurka Chopina.*)

Przed zwierciadłem czarnobrewa
Kwiatów pełną wzięła dłoń,
I stroiła niemi skroń,
I weseli się i śpiewa:

„Ej! nieznośne te młokosy,
Gdzie się ruszę tam ich rój;
Dla nich piękny kładę strój,
Dla nich wpinam kwiat we włosy.“

Stroić się—to nudna praca,
To odchodzi—to znów wraca,
Włosy gładzi—oczka mruży
I poprawia pączki róży.

I pobiegła serca młode
Połaskotać oczkiem swem,
I zakłócić spokój tym,
Co się patrzą w jéj urodę.

Bo też patrzeć się w nią godna!
Jak aniołek tak urodna,
Jakby pręcik taka wiotka
Ta figlarna, śliczna trzpiotka.

Ej! nie powiem wam już daléj,
W młodych sercach ogień, żar,
A ona ma w oczach czar,
Tobyście się zakochali.

Michał Bałucki.

ANTONI MAŁECKI.

Do liczby bezwątpienia cennych znakomitości należy słusznie i sprawiedliwie *Antoni Małecki*. Któż tego imienia nie zna? Pismem, słowem z katedry uniwersyteckiéj, obznajmia bezustannie z tem wszystkiem, co się tycze rozwoju narodowego języka i literatury. Urodzony r. 1821 w Obiezierzu, w W. Ks. Poznańskiem, po śmierci ojca 1825 r. wzrastał pod okiem światłéj, kochającéj matki, która mu pierwszych początków nauk udzielała, która, umiejętnie podsuwając mu i wybierając do czytania książki, zamłodu zbawiennie już wpłynęła na urobienie tego wrażliwego umysłu, mającego kiedyś zająć znakomite w piśmiennictwie miejsce. Po stracie ukochanéj matki r. 1834, oddanym został przez opiekę do Gimnazjum Katolickiego w Poznaniu.

Nauki odbywał z taką łatwością, iż jedną klassę ominął, a inną, w któréj kurs obowiązuje dwa lata, przeszedł w ciągu jednego roku. Najłatwiéj przychodziły mu języki, szczególniéj ojczysty, grecki i łacina, którym się już wówczas przed wszystkiemi innemi z wielkiem zamiłowaniem oddawał. Trudniéj szło mu z językiem niemieckim, a wcale nieszczególnie z matematyką.

Po odbytym w r. 1841 egzaminie dojrzałości, udał się Małecki na uniwersytet Berliński, gdzie w wydziale filozoficznym, pod kierunkiem sławnego Böckh'a, przykładał się głównie do filologji, mając zamiar starać się o posadę nauczycielską. Dosyć także poświęcał się filozofji, szczególniéj systematowi Hegla, który w owym czasie był w modzie i zawracał jeszcze tysiące umysłów. Trzecim jego przedmiotem była historja i prócz tego uczęszczał pilnie na języki słowiańskie, wykładane przez Wojciecha Cybulskiego. W 1844 roku otrzymał stopień nauk Doktora filozofji, a powróciwszy niebawem w strony ojczyste, wstąpił w poczet professorów Gimnazjum Katolickiego w Poznaniu, gdzie z całym zapałem i z całą duszą oddał się obranemu i ulubionemu zawodowi. To też kochany był i szanowany od wszystkich.

Pomiędzy r. 1846—1848 rozpoczyna się właściwa literacka czynność Małeckiego, któréj się z przyjemnością oddawał, o ile na to pozwalały obowiązki. Prace jego, najczęściéj bez podpisu, zamieszczał ówczesny: „Rok“ i „Przegląd Poznański“. W r. 1850 powołanym został na professora obu języków starożytnych w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, która to katedra zajętą była dawniéj przez Trojańskiego. W r. 1854 otrzymał nominację na professora uniwersytetu w Insbruku, w Tyrolu, zkąd po dwóch latach przeniesionym został do Lwowa, na professora języka i literatury polskiéj, od lat kilku tu nie wykładanéj.



Głód i nędza. — (Strona 374-a).
(Rysunek Artura Grotgera).

Jego gruntowne wykłady, szczególnie o Mickiewiczu, Słowackim i innych, zwabiały coraz liczniejszą młodzież, a wkrótce professor stał się takim jéj ulubieńcem, że nieraz sala uniwersytetu lwowskiego nie mogła w sobie pomieścić wszystkich słuchaczów. Czynności Małeckiego na uniwersytecie i szacunek, jakim go wszyscy otaczają, w uznaniu znakomitego talentu, sumiennéj pracy i rozlicznych zasług, czynią mu pobyt we Lwowie do tyla miłym, że choć w roku 1862 powoływany był do b. Szkoły Głównéj w Warszawie, a w r. 1867 do Wrocławia, na miejsce zmarłego Cybulskiego, nie porzucił jednakże swego stanowiska.

Z prac jego literackich, zasługują na szczególniejszą uwagę: 1) *List żelazny*, tragedja w pięciu aktach. Pomimo dość ostrych krytyk, a nawet i nie-

słusznych napaści, *List żelazny* zwrócił na siebie powszechną uwagę i do dzisiejszego dnia utrzymał się z powodzeniem na scenie. 2) *Monografija o Andrzeju Morsztynie* (drukowana w piśmie zbiorowem Ohryzki, Petersburg 1860 r.). 3) *Gramatyka Polska* (wydanie większe, Lwów, 1863 r.; wydanie mniejsze Lwów 1863 i 1865, dwie edycje). 4) *Juljusz Słowacki*, jego życie i dzieła (2 tomy, Lwów 1866 i 1867). Oprócz tego zajmował się uporządkowaniem i wydaniem pośmiertnych pism Słowackiego, w trzech tomach, a obecnie pracuje nad przygotowaniem do druku swéj Historji literatury polskiéj, mającéj wyjść w sześciu tomach. Z pomiędzy tych prac najcelniejsze miejsce zajmują: a) *Gramatyka Polska*, która skutkiem swéj gruntowności i wyczerpującego prawie obrobienia przedmiotu, powszechne zyskała uznanie i jest dziś najwięcéj do wykładów szkólnych używaną książką. b) *Monografija o Słowackim*. W pracy téj przeplata autor w dziwnie zajmujący sposób, ciekawe koleje życia naszego poety, z gruntownemi recenzjami jego dzieł, i wybitnie maluje czytelnikowi znakomitsze chwile ojczystéj literatury w bieżącem stuleciu. Jest to nie tylko jedna z najważniejszych publikacji, które się ostatniemi czasy pojawiły, ale nadto, jest to dzieło, które z takiem zajęciem jak powieść, choć z niezmiernie większym pożytkiem czytanem być może.

Ksawery Drużba.

RYSUNKI
ś. p. Artura Grotgera.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 32-gi).

4. Na czwartym obrazku widzimy w głębi zastęp kawalerzystów, na wojnę dążących. Tuż obok sztandaru jadący wojak wyciąga prawicę w stronę odchodzącéj żony z dzieckiem na ręku i zdaje się krzyczéć do niéj głosem marsowym:

— Do widzenia!

Ale nieboga nie słyszy może tego głosu, idzie z głową nieco na kark zarzuconą i z oczami spuszczonemi i gorzkiemi a cichemi zalewa się łzami. Dusza jéj widocznie za mężem pociągnęła, serce zostało przy dziecku, a ciało machinalnie posuwa się przez ogródek ku domowi.

Z całéj postaci téj niewiasty przeczuwacie, że skoro tylko wstąpi w progi swoje, rzuci się plackiem na ziemię przed wizerunkiem ukrzyżowanego i jego wszechmocnéj opiece losy swego męża, przyszłość swego dziecka i swoją boleść niezmierną poświęci...

Genjusz sztuki z dala wskazuje artyście na ową niewiastę, wizerunek któréj zdaje się fotografować na duszy jego, a w twarzy artysty na okrzyk męża: *do widzenia*! można czytać smutny nader ciąg dalszy pożegnania w słowach: *na lepszym świecie*!

5. Na obrazku, noszącym tytuł *głód i nędza*, widzimy rodzinę, składającą się z kobiét, dzieci i starca, ukrytą w lesie. W głębi pali się ich domostwo. Jedna z kobiet dzieli ostatni kęs chleba pomiędzy dwoje dzieci, druga z twarzą ukrytą w dłoni łzy połyka. Starzec z głową wspartą na dłoni, któréj wskaziciel skierowany ku niebu, z marsem na czole, mierzy przestrzeń dzikim wzrokiem. Pożera go rozpacz bezsilności. Za stary i za słaby żeby walczyć, wątpi czy zdoła obronić kobiety i dzieci i wstydzi się, że nie może posiłku im dostarczyć. Nawet nie patrzy na pożogę swoich zabudowań, straty duchowe, boleści serdeczne, obchodzą go tylko, stratą mienia gardzi.

Geniusz sztuki okazawszy tę scenę artyście, skierował uwagę jego w dal, zkąd widać nadciągają nowe zastępy nieprzyjaciół, by siać nowe mordy i pożogi. *(d. c. n.)*

ZEMSTA KOBIETY
OBRAZEK Z PRAWDZIWEGO WYDARZENIA
przez
Kornelję Drzewiecką.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 32-gi).

II.

— Moja Zosiu, mówiła jednego dnia doktorowa X. do siostrzenicy, chciałabym z tobą pomówić na serjo.

— Co Ciocia sobie życzy? zapytało dziewczę z naiwną minką—choć szkarłatny rumieniec wybiegający na lice zdawał się mówić, że życzenia Cioci nie są jéj nieznane.

— Chciałam ci powiedzieć, żem dawniéj wysokie miała wyobrażenie o twoim rozsądku, który zresztą miećbyś już powinna, mając lat 20; teraz, zmuszasz mię do zmiany opinji, bo w twojem obejściu nie ma ani kropli sensu. Pozwalasz się bałamucić widocznie, temu trzpiotowi Kalinowskiemu, a zniechęcasz zacnego człowieka, jakim jest Krzemionka. Nie myśl by Julek miał jaki inny cel, jak tylko prostą zabawkę. Gdyby cię kochał, nawet jego krewni i blizcy nie dopuściliby mu związku z tobą; bo ja znam tę dumną szlachtę, która myśli, że marnotrawstwo i bezczynność uczyniły ich istotami nieskończenie od nas wyższemi.

— Ależ droga Ciociu, mówiła stłumionym głosem Zofja, Juljusz nie jest takim jak inni, on mi tyle razy mówił, przysięgał nawet, że ma dla mnie głębokie, niekłamane uczucie, że jego zamiar jest niezłomny, że mnie pragnie widziéć swą żoną.

— A twoje przyrzeczenie dane Augustowi? zapytała ciotka.

— Moja droga Ciociu, prawda jest, tłómaczyła się panna, całując i pieszcząc ręce Ciotki, prawda, że to przyrzeczenie złamane, stawia mój charakter w złem świetle; ale wam, co bliżéj zemną żyjecie, wiadomo dobrze, żem nigdy nie kochała Augusta. Jego ustalona opinja, wasze rady, rozpaczliwe położenie matki, niemożność dokończenia edukacji młodszego rodzeństwa, skłoniły mnie do przyjęcia jego oświadczenia; myślałam, że się przywiążę do niego, że późniéj moje serce za nim przemówi, niestety! Ono przemówiło, ale dla innego.

— Rób jak chcesz, moje dziecko, odrzekła pani X., całując jéj czoło, wiesz, że nie mając dzieci, wszystkie skarby serca matki wylałam na ciebie. Nie pragnę więc niczego, tylko twego szczęścia; jednak radzę ci z serca, bądź obojętniejszą dla Kalinowskiego, a lepiéj może na tem wyjdziesz.

Zadzwoniono w przedpokoju i po chwili Juljusz ukazał się w salonie. Ale Zofja pomna instrukcji, jakie jéj udzieliła ciotka, a może też i rzucone w serce ziarno nieufności, zakiełkowało, dosyć, że przyjęła go zupełnie obojętnie.

Rozdrażniony, nie przywykły do niepowodzeń młodzieniec, tego jeszcze wieczora oświadczył się doktorowi o rękę Zofji.

— Mój Panie, odrzekł uśmiechając się dobrodusznie poważny eskulap, daruj mojemu staremu doświadczeniu; ale ci powiem szczerze, że twoja zbyteczna młodość, otoczenie w jakiem żyjesz, zasady, w jakich cię wychowano, nie dają dostatecznéj pewności dla naszéj siostrzenicy, że jéj słowa dochowasz.

— A gdybym dał rękojmię téj pewności? zapytał.

— I jakaż to będzie ta rękojmia? odparł wzajemnem zapytaniem doktór.

— Gdybym zapisał, odrzekł Juljusz, gdybym zapisał pannie Zofji 50 tysięcy złotych i akt urzędownie sporządzony

oddał w ręce Pana dla wciągnięcia do ksiąg hypotecznych dóbr Wąsoszyna?

Doktór pomilczał chwilkę, potem spotkał w przelocie błagalne spojrzenie Zosi i podał rękę Kalinowskiemu, na znak zgody.

Nazajutrz rejent M. sporządził akt urzędowy ze wszystkiemi formalnościami, mocą którego Panna Zofja Miniewicz, stawała się właścicielką powyższéj summy, a doktór X., upoważniony do zapisania téj summy na pierwszéj hypotece dóbr Wąsoszyna.

W parę dni całe miasto wiedziało o wkrótce mającym nastąpić związku małżeńskim, pomiędzy Juljanem Kalinowskim i Zofją Miniewicz. August odsunął się stanowczo. Juljusz nie odstępował narzeczonéj, towarzysząc wszędzie państwu X. Tylko doktór nie spieszył się z wniesieniem aktu do księgi wieczystéj, ale trzymał go u siebie. (*d. c. n.*)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Za pozwoleniem łaskawa pani, komedja w I^m akcie, z francuzkiego tłómaczona. Kontrybucje pana Stefana, komedja w I^m akcie, z francuzkiego przepolszczona. Teatr letni.

Naraz zebrało nam się pisać o dwóch komedjach. Nowe te wyskoki różowego humoru francuzkich autorów, łączących się prawie zawsze w spółkę, gdy idzie o napisanie scenicznéj drobnostki, są zatem tłómaczone, chociaż afisz powiada o drugiéj, że jest z francuzkiego przepolszczona, co niby ma znaczyć, że tłómacz napiętnował ją bardziéj indywidualnością swojego talentu i zlokalizował, to jest: Alberta nazwał Wojtkiem, Paryż Warszawą i t. p., jednak nie przeszkadza, że wszystkie występujące osoby, są na wskroś francuzami i tylko z łaski pana tłómacza noszą polskie nazwiska. Tak właśnie jest: *z Kontrybucjami pana Stefana.*

Spóźniliśmy się nieco z niniejszym *przeglądem*, bo tak, jak każdy śmiertelnik, i recenzent teatralny w skwarne lato wybiedz musi po za mury stolicy i odetchnąć świeżem powietrzem; ale co prawda, gdyby nie to, że obowiązkiem jest naszym zdawać sprawozdanie czytelnikom o wszystkiem, co się ukazało nowego na scenie, to może najlepiejby było zupełnie zamilczeć o tych dwóch powyższych sztuczkach, które się doprawdy niczem nie zalecają, i jeżeli mają jakie takie powodzenie, to należy podziękować wybornéj grze artystów, którzy nawet takie mierne drobnostki talentem swoim i pracą ożywić i podnieść potrafią.

Autorami sztuczki *Za pozwoleniem łaskawa pani* są panowie Labiche i Delacour. Treść komedyjki oparta jest na bardzo już wyzyskanem i zwietrzałem wspomnieniu miłosnem, które się rozbudziło po kilkudziesięciu latach. Idzie to tam jeszcze jako tako gładko, tem bardziéj, że wyśmienita gra panów Rapackiego i Ostrowskiego, którzy są głównemi figurami w sztuce, podnosi bardzo mierność pomysłu; ale znowu co do drugiéj komedji p. t. *Kontrybucje pana Stefana*, odegranéj już na deskach teatru letniego w Saskim Ogrodzie, to z téj żaden artysta nic zrobić nie potrafi, i wszelkie wysiłki, aby ją utrzymać na scenie, są według naszego zdania próżne, bo rzecz tak mizerna, żadnego powodzenia mieć nie może i mieć nie będzie. Cała treść téj elukubracji polega na tem, że mąż, pan Stefan, lubiący się często dopuszczać po za sferą małżeńskich obowiązków nadużyć, niekoniecznie zgodnych z moralnością, za każdym razem sam na siebie nakłada karę i kupuje żonie zawsze prezent, a że lubiał często przekraczać granice wiary małżeńskiéj, więc obsypał w końcu żonę taką massą prezentów, że ta naturalnie dziwić się poczęła i w końcu wszystko wydało się, chociaż mogło i zostać na zawsze w tajemnicy, boć panem téj tajemnicy był tylko mąż i od niego zależało powiedzieć, lub nie powiedzieć żonie... Rzecz prosta, że z takiego pomysłu, komedji, choćby najmniejszéj, napisać się nieda, wystarczyć to zaledwie może na jedną scenę, która ani oryginalnością, ani dowcipem zbytnie widzów nie uderzy, a cóż dopiero kiedy taką drobnostkę rozwadnia się na cały jeden akt?... Cóż z tego wypływa?... Woda, i to jeszcze woda ciepła, jak wiadomo, sprawiająca nudy... Tyle o tych nowo przyswojonych komedyjkach.

Powiedzieliśmy, że druga z nich grana była w Teatrze letnim w Saskim Ogrodzie. Musiemy tu dołączyć nasz głos do innych, że wszelkie sceny dramatyczne, wymagające szlachetnéj gry artystów, ze sceny Teatru letniego, usunięte być winny, bo nie wychodzą tak, jakby powinny wyjść. Teatr letni, choćby najlepiéj postawiony, będzie miał zawsze niedogodności, wynikające z natury swojéj budowy. Resonans w każdym letnim teatrze, nigdy nie będzie dokładny, potrzeba więc wystawiać sztuki efektowe pod względem wokalnym, lub też opery buffo i balety.

Zrobilibyśmy również uwagę, że ceny w nowym letnim teatrze są nieco za wysokie, szczególniéj też miejsca ostatniéj galerji, i chociaż wielu przemawia za tą okolicznością, że najtańsze miejsce jest numerowane, sądzimy jednak, że 25 kop. miejsce na ostatniéj galerji, jest za drogie w teatrze letnim, który pod żadnym względem nie mogąc się równać z teatrem prawdziwym, musi być nierównie tańszy.

Teatr letni w Saskim ogrodzie jest jeszcze wewnątrz i zewnątrz nieukończony; budynek nie przygotowany jest o tyle, żeby przedstawienia mogły się swobodnie odbywać i dopiero na rok przyszły pod względem ozdób i wszelkich dodatków ukończony w zupełności zostanie; słyszeliśmy wszakże, nie ręcząc za autentyczność pogłoski, że w roku przyszłym, dzisiejszy gmach teatru letniego w Saskim ogrodzie, przeniesiony będzie na ulicę hr. Berga, w środku znajdujących się tam ogrodów, ponieważ znajdowanie się teatru w Saskim ogrodzie, pokazało się nie praktyczne, a dla samego ogrodu nie korzystne.

M. Dzikowski.

Wiadomości Techniczne.

—**Kléj nieprzepuszczający wody.** Robi się według prof. Kleczyńskiego następującym sposobem: do zwykłéj lub weneckiéj terpentyny dodaje się kwasu siarkowego angielskiego w stosunku 3% na ilość wziętéj terpentyny, mięsza się jak najstaranniéj, następnie miększy się ta massa przez 12 godzin w letniéj wodzie, która 10% wymulonéj bieli cynkowej (zinkweiss) w stosunku do ilości terpentyny użytéj zawiera, poczém mięsza się ta massa należycie, i po wyjęciu z wody suszy. Tak otrzymany wytwór, rozczynia się w ciepłym lnianym, do połowy swéj pierwotnéj objętości wygotowanym oleju, w którym najprzód jednakowoż 20% kauczuku w surowym oleju terpentynowym namaczano; na te 20 części kauczuku trzeba około 80 oleju terpentynowego użyć.

— **Tak zwana wiedeńska massa piankowa.** Patentowana massa piankowa W. Hohmanna składa się według doniesienia Hammsa w illustrowanym dzienniku z 100 części 35 stopniowego szkła wodnego (Wasserglas), 60

części kwasu węglanego, magnezji, i 80 części sproszkowanych obrzynków pianki morskiéj, czyli białéj czystéj glinki. Wszystkie te części składowe w najczystszym stanie rozcierają się na żelaznéj blasze lub mielą w młynku do najsubtelniejszéj miałkości, poczém zmieszana ta massa przeciera się przez bardzo cienkie lub jedwabne sito, następnie roztworzona odpowiednio wodą, pozostawia się w tym stanie przez 10 mniéj więcéj minut, po upływie tego czasu wlewa się niezwłocznie w formy, z których ociekająca woda pozostawia przedmioty w formie zastygłe.

— **Prezerwowanie chmielu.** Właściwie aromatyczny zapach albo woń chmielowa jest głównym warunkiem dla fabrykacji piwa i stanowi jedyną wartość handlową rośliny. Aromat ten w zwyczajnych temperaturach jest nadzwyczaj lotnym; zeszłoroczny chmiel, z powodu braku aromatu jest podobno przedmiotem małéj wartości. Przyczyną tego miłego zapachu jest substancja żywiczna *lupulinem* zwana, która jako delikatny pyłek dolną część baldaszku pokrywa i która się tém łatwiéj ulatnia, im wwyższéj temperaturze chmiel jest złożony. Najstaranniejsze, najwiatrotrwalsze opakowanie chmielu, jak np. przechowywanie go w blaszanych i zalutowanych skrzyniach, bynajmniéj nie zabezpiecza od ulotnienia się lupulinu. Ponieważ cena chmielu jest nadzwyczaj zmienną, byłoby więc nader ważną rzeczą, aromat jego na kilka lat zaprezerwować. Pewien amerykanin nazwiskiem Brainard, robił w tym względzie liczne i długoletnie próby i przekonał się, iż chmielowi na kilka lat zapewnimy jego właściwy i przyjemny zapach oraz świeżość, jeżeli go umieścimy w przestrzeni suchéj i przewiewnéj, ale w temperaturze jak tylko można niskiéj. W tym celu pakuje się chmiel do zwyczajnych worków, mieści się go w suchych magazynach, nie będących jednak w żadnym związku z zewnętrznem powietrzem; magazyny te jednak winny łączyć się z lodowniami, zkąd zapomocą wentylacji możnaby otrzymywać zimne powietrze 4 — 6 stopni nad punkt marznięcia. W ten sposób *lupulin* ulatnia się bardzo mało a wartość chmielu tym sposobem staje się o wiele wyższą. *J. P.*

HUMORESKA.



(W karczmie wiejskiéj.)

— Pan Maciej: Już to ja zawsze powiadam, że takiego głupiego narodu jak żydzi, już nie było i niebędzie.

— Szmul: Ny, wie heist, dla czego głupi?

— Pan Maciej: Pomyślcie sami panie arendarzu: Nie głupstwo to dać się Mojżeszowi lat 40 wodzić na puszczy.

— Szmul: Z psiproszeniem łaski Pańskiéj. Mojżesz był bardzo mądry człowiek, a niemógł dłużéj żydów wodzić nad lat 40—żeby won miał panów ekononomów, won byłby ich wodził do skończenia świata!

ROZMAITOŚCI.

— **Wilk bojący się kataru.** W gminie Lubiel, powiecie Pułtuskim, w miesiącu Kwietniu r. z. miało miejsce następujące zdarzenie. Pewnego poranku, po pierwszem puszczeniu lodów na rzece Narwi, jeden z licznych miejscowych rybaków miał konieczną potrzebę przeprawienia się na drugi brzeg rzeki, któréj koryto wije się pomiędzy obszernemi z obu stron lasami. W tym celu wsiadł do małéj łódki i w chwili, kiedy od lądu odbijał, uczuł nagłe wstrząśnienie, jak gdyby coś niespodzianie wpadło do jego statku. Obejrzał się strwożony i spostrzegł siedzącego najspokojniéj na drugim końcu łódki na tylnych łapach ogromnego wilka. Widok tego nieproszonego, a często bardzo niebezpiecznego gościa, przeraził okropnie rybaka, który ująwszy oburącz wiosło zamierzył się niem na swego passażera. Wilk zerwał się i wyszczerzywszy kły, zaczął niemi groźnie kłapać. Rybak opuścił wiosło do wody i wilk znowu usiadł jak gdyby chciał przekonać swego przewoźnika, że wcale zaczepiać go nie myśli. Scena ta, to jest groźby wiosłem ze strony rybaka i niemniéj groźnego ze strony wilka odporu, powtarzała się jeszcze kilka razy, a tymczasem łódka zbliżała się do przeciwnego brzegu. Nareszcie, gdy już zaledwie kilka tylko kroków pozostawało do przebycia, wilk podniósł się, przeciągnął i niewdzięczny, wyszczerzywszy ostatni raz zęby na swego przewoźnika, jednym gwałtownym skokiem rzucił się na brzeg, i ogon tylko zmoczywszy, powolnym krokiem udał się do swoich towarzyszy, czekających go pewnie w gęstych nadbrzeżnych zaroślach. Łupieżca dbałym był widocznie o swoje zdrowie; wiedział, że po puszczeniu lodów, woda jeszcze jest bardzo zimna, że Kwietniowe słońce nie prędko mu kożuch wysuszy, więc unikając kataru, a pomny danego braciom swoim słowa stawienia się na umówionem rendez-vous, bardzo dowcipnie korzystał z tak pięknéj okazji bezpłatnego przewozu.

Jest to fakt rzeczywisty, który cały Lubiel powtarza, i o którym każdy niewierzący także osobiście przekonać się może.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. — **Redaktor,** Oskar Stanisławski.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.